

STARCRRAFT

HEART OF THE SWARM



BILZARD
ENTERTAINMENT

BLIZZARD ENTERTAINMENT

Wyjście

Autor: Danny McAleese

— Słyszeliście? Są w ścianach.

Metaliczne dudnienie ledwie dawało się usłyszeć przez szalejący wiatr, ale nie było mowy o pomyłce. To na pewno one. Czwórka mężczyzn siedzących wokół stołu skuliła się jeszcze ciaśniej, nie tyle ze strachu, lecz żeby się ogrzać.

— Tak myślisz? — Prescott, nawet nie próbował ukryć zdenerwowania w głosie. — Przecież te ściany są takie grube. Nie sądziłem...

— Stul dziób — mruknął Garrick, odwracając kolejną kartę. — On cię wkręca.

Rzucił porozumiewawcze spojrzenie na kompana po drugiej stronie stołu i wyszczerzył zęby.

— A może nie?

Charn zdał sobie sprawę, że lubili go straszyć. Rajcowało to ich. Patrzenie, jak krew odpływa z twarzy Prescottta, było o wiele ciekawsze niż wszystko, co robili przez ostatnie sześć dni, i na pewno lepsze od gry w karty.

— Jeśli są w ścianach, to koniec — zawyrokował Kort, udając przesadnie zrezygnowane westchnienie. — Przegryzą kable zasilające i zamrozimy na śmierć w tej dziurze.

— Nie-e... — Garrick podniósł kolejną kartę. — Dopadną nas, zanim zamarzniemy. Jesteśmy jedynym źródłem ciepła w promieniu dwudziestu kilometrów. Robale przegryzą się tutaj w pierwszej kolejności i będzie po sprawie.

Co do jednego stary marine miał słuszość — było przenikliwie zimno. Sześć godzin temu piec przestał działać i choć w starym bunkrze znaleźli mnóstwo rzeczy, to paliwo do takich nie należało. Przewodniki geotermalne biegnące w podłodze pozostały jedynym źródłem ciepła, ale zdecydowanie za słabym.

— Niemożliwe, żeby już tu były — zaproponował Prescott. — Duch by je zobaczył. Zarządziłby ewakuację i już by nas tu nie było.

Nastąpiło drugie rozdanie. Kort zgarnął stawkę: sześć dużych podkładek, dziesięć małych i kilka ukruszonych kostek domino. Wczoraj marine grali o posiłki i prysznic soniczny, ale teraz ich przyszłość stała się zbyt niepewna. *Szkoda, że mamy za mało kostek, żeby zagrać w domino*, pomyślał Charn. *To byłaby miła odmiana.*

— Może ten dźwięk to był *on* — powiedział z nadzieją Prescott — Może szykuje się do ewakuacji.

— Może nie żyje. — Odzywka Korta zamknęła młodszemu marine usta. Zapanowała niezręczna cisza. Słowa weterana wyrażały to, co myśleli wszyscy, ale nikt nie chciał powiedzieć.

— Ja... ja myślę...

— Nikogo nie obchodzi, co myślisz — uciął Garrick. — Ewakuacji nie będzie. Jeśli siły specjalne odleciały, to jesteśmy zdani na siebie. Nikt inny o nas nie wie.

To pewnie prawda, pomyślał Charn. Rozkazy były proste: marines mieli zostać z bazy do pojawienia się zergów. A wtedy duch przypisany do jednostki wezwałby precyzyjne uderzenie taktyczne i zainicjował ewakuację.

Ujmując najprościej — byli *przynętą*.

Charnowi nie podobało się to bardziej niż reszcie, ale było to jego pierwsze zadanie. Jego pierwszy zrzut. Nie miał zamiaru wyłamywać się z szeregu ani okazywać nieposłuszeństwa. Chyba, że nie miałby innego wyjścia.

Jednym problemem był duch. Stracili z nim kontakt dwadzieścia sześć godzin temu. Zresztą nikt nie widział go przez cały czas trwania misji. Dla marines był jedynie przerywanym głosem po drugiej stronie wysłużonego komunikatora. Głosem, który niepokojąco zamilkł.

Na domiar złego tylko duch posiadał kody ewakuacyjne.

— Spróbuj jeszcze raz — rzucił Charn do Garricka. — Wywołaj go na innej częstotliwości.

— Myślisz, że już nie próbowałem? — warknął starszy marine z pogardą. — W eterze cisza.

— No to musimy do niego iść — powiedział wprost Charn. — Trzeba sprawdzić.

Kort z Garrickiem wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Charn wiedział, że obaj brali wspólnie udział w wielu akcjach, i szanował to. Ci dwaj byli w miejscach, które Charn chciałby zobaczyć, i robili to, czego sam miał nadzieję doświadczyć. To dlatego się zaciągnął.

Przez dłuższy czas nikt się nie odzywał.

— *Jeden z nas pójdzie* — oznajmił stanowczo Kort, przerywając ciszę, jakby był dowódcą. Ale nie był. Prawdę mówiąc, nie mieli dowódcy. Nie od czasu zniknięcia kaprała.

Prescott spojrział niepewnie.

— *Jeden z nas?*

Garrick przytaknął z namysłem.

— *Dziewica ma rację. Pora wykonać ruch.*

— *Kto...?*

— *Zagrajmy o to.* — Garrick zebrał karty.

Baza nie należała do zbyt dużych, ale była wystarczająco przestronna. Duch zaszył się w południowej wieży i obserwował horyzont. Nie dało się tam dotrzeć bez przechodzenia przez dziedziniec, a wszyscy wiedzieli, że dziedziniec był ciemny, ogromny i przenikliwie zimny.

Charn patrzył, jak wielki marine tasuje pomięte karty, które zapewniały grupie rozrywkę przez większość minionego tygodnia. Garrick miał szerokie ręce poznaczone na grzbietach bliznami, ale przesuwał nimi zwinnie nad stołem, gdy rozdawał karty.

— *Nie gramy na niskie układy* — potwierdził stary marine — *Żadnego pasowania. Żadnego dobierania do trzech. Kto odpada, ten wraca do gry i zastanawiamy się, co dalej. Zgoda?*

Wszyscy przytaknęli. Prescott na końcu. Nie trzeba było dodawać nic więcej. Charn patrzył, jak wszyscy biorą karty i dopiero wtedy wziął swoje. Dwie królowe. Dobrze. Świetnie.

— Trzy — powiedział Charn, odkładając pozostałe trzy karty na stół. Cała reszta również odrzuciła trzy karty, poza Prescottem. Po chwili wahania, młody marine wyjął jedną kartę.

— Potrzebujesz tylko jednej? — zdziwił się Garrick. Prescott przytaknął niemal przeproszająco. Garrick wzruszył ramionami i wymienił. Wszyscy podnieśli swoje karty.

— Ty pierwszy. — Kort spojrział na Charna, po czym odwrócił się i splunął na podłogę.

Charn bez słowa położył swoje trzy królowe. Garrick zagwizdał nisko.

— Niech to. Masz farta, dziewico. No to ty chyba nie idziesz.

— Ja też nie — odezwał się Kort pokazując z ręki parę waletów. — I dzięki Bogu, bo już mi jaja zaczynają odmarzać.

Wszyscy skupili uwagę na Garricku. Celowo wyczekał kilka długich sekund dla efektu.

— Para dziewiątek — oznajmił w końcu. A następnie z przekonaniem położył karty na zimnym, metalowym stole.

Pozostał już tylko Prescott. Poruszył się niespokojnie w krześle, zerkając to na swoje karty, to na karty pozostałych graczy, jakby chciał coś zmienić. W końcu nieśmiało wyłożył swoje, aby wszyscy mogli je zobaczyć.

— Nie masz nic. — Kort popatrzył na wyłożony zestaw. — Blotki z asem.

Garrick wziął karty Prescottta i położył je na stole.

— Co ty w ogóle chciałeś dobrać? Kolejnego dużego strita? — Odepchnął karty żółtodzioba guzowatym paluchem. — Pamiętasz, że w talii brakowało jednego króla, gdy ją znaleźliśmy, prawda? Głupi.

Prescott nadal nic nie mówił. Z opuszczonymi ramionami powoli kręcił głową. Ręce rozłożył w geście kapitulacji.

— No to zbieraj majdan — rzucił Garrick, sięgając po karty. — Bo będzie...

Charn nagle złapał Garricka za nadgarstek.

— Zaczekaj chwilę...

Zdenerwowany marine wyrwał rękę jak postrzelony. Charn go puścił i wskazał na talię.

— Wygląda na to, że masz dwie dziewiątki karo.

Wszyscy spojrzeli na karty Garricka. To była prawda.

— O rany! Skąd ty je wytrzasnąłeś? Wszystkie te wypadki... tyle razy ciągnęliśmy za słomki, a ja myślałem, że grasz ze mną fair! — Kort wybuchnął śmiechem i podniósł karty. Nie tylko pochodziły z innej talii, ale miały zupełnie inny kolor na odwrocie.

— Stul dziób! — warknął Garrick, a jego słowa ociekały jadem. Popatrzył ostro na Charna. — A nasza mała dziewczica ma trzy królowe. Jak miło. To jedyne królowe, jakie widziałeś w życiu.

Garrick nagle wstał, wyprostował się na swoje dwa metry wzrostu. Z hukiem postawił nogę na stole i podciągnął legginsy do kolana, odsłaniając paskudną, poszarpaną szramę, która wyżarła połowę jego łydki.

— Widzicie to? — Wskazał na bliznę. — Królowa zergów prawie zabrała mi nogę na Reverze. Straciłem tego dnia ośmiuset braci, sześciuset następnego.

Wszyscy również wstali, ale nie odezwali się słowem. Prescott wolał nawet nie podnosić wzroku. Kort nadal się uśmiechał.

— A to... — Garrick odgarnął tłuste, czarne włosy. — Tutaj miotacz kul wyrył mi bruzdę w czaszce. — Przebiegł palcem po paskudnym zagłębieniu. — Bratobójczy ogień. To był *świetny* dzień.

Charn nawet nie drgnął, ale Prescott próbował się cofnąć. Garrick złapał go za ramiona i przyciągnął do siebie, twarzą w twarz, szerząc żółte zęby kilka centymetrów od nosa młodego i wykrzywiając usta w paskudnym grymasie.

— I tak idziesz — odparł. — To niczego nie zmienia. Ja już się namordowałem, zrobiłem swoje. Robię się za stary na to gówno. Twoja kolej.

Garrick powoli zwolnił chwyt. Prescott opadł na krzesło, całkiem zdruzgotany. Było jasne, że w najbliższym czasie do niczego się nie będzie nadawał.

— Ja pójdę — rzucił Charn. Brzmiało to tak zwyczajnie, obojętnie, jakby to nie były nawet jego słowa.

Kort odwrócił się z zaciekawieniem, jakby ujrzał kompana po raz pierwszy.

— Serio? Jesteś pewien?

— Absolutnie — przytaknął Charn, bardziej do siebie niż kolegi. — Wykańcza mnie siedzenie w tym miejscu. Miejmy to już za sobą.

Pancerz bojowy był równie ciężki, co stary. Górę znaleźli w zbrojowni bunkra, dół w szafce tuż za śluzą ciśnieniową. W pancerzu spiętym prowizorycznie pasami brakowało zasilania, a zimna stal kłuła skórę Charna, ale przynajmniej zapewniała osłonę przed wiatrem.

Butów i rękawic nie było. Charn prawie zostawił też hełm.

— Trzymaj — Przy wyjściu Kort rzucił opancerzonemu marine pozbawiony wizjera hełm. — Odwaga to jedno, głupota to coś zupełnie innego. — I z tymi słowami starszy żołnierz wrócił do środka.

Poza bunkrem wiatr był nieokiełznanym żywiołem. Charn musiał się mocno pochylić, żeby się nie przewrócić. Pozostała dwójka czekała pod zadaszeniem, aż sami też będą mogli skryć się bunkrze.

— Południowa wieża jest tam — przekrzykując wiatr Prescott wskazał palcem. Drżał przemarznięty od stóp do głów. — Obejdź warsztat mechaniczny i miń trzeci garaż. Kiedy dotrzesz do muru, skieruj się lewo i idź wzdłuż niego.

Charn przytaknął. Garrick podał mu zmodyfikowany karabin AGR-14 i klepnął po ramieniu tak mocno, że niemal go przewrócił.

— Powodzenia!

— Pamiętajcie, by zamknąć za sobą drzwi — przypomniał im Charn.

— O to się nie martw. — wyszczerzył się Garrick. Już trzymał palnik.

Towarzysze Charna zniknęli w wiatrołapie. Charn odwrócił się ku szalejącej wichurze, przeklinając, że wieje mu w twarz, a nie plecy. Krok po kroku parł naprzód, jedną ręką osłaniał oczy, drugą się podpierał.

Aby dotrzeć do warsztatu, musiał przejść przez ogromny, pusty dziedziniec. To była najgorsza część wędrówki — żadnych budynków do osłony, a wiatr dął dwa razy silniej i był pięć razy zimniejszy. Omiatał ciało marine niczym płyn, smagał odsłoniętą twarz i mroził kark i tors. Charnowi ręce szybko skostniały, a palce, którymi osłaniał oczy przed wiatrem, znieruchomiały w groteskowym salucie.

Brnął jednak naprzód. Krok za krokiem. Wkrótce znalazł się na środku lodowatego dziedzińca. Rozejrzał się. Miał wrażenie, jakby trafił do czyścica. Za sobą ledwo rozpoznawał niewyraźny kształt niskiego bunkra. Zdawało się, że warsztat mechaniczny majaczący z przodu, znajduje się o kilometry stąd. Pod stopami był tylko gładki, czarny lód, a głęboko pod warstwą zamarzliny asfalt.

Charn zacisnął palce jeszcze mocniej wokół swojego AGR-14 i kontynuował marsz. Przejście dziedzińca zajęło mu dobre dziesięć minut, a ominięcie warsztatu kolejne

dwie-trzy. Znalazł rząd garaży, które wskazał Prescott, i ruszył w ich kierunku, nim zauważył, że drugi jest otwarty.

Miał nadzieję znaleźć osłonięte wejście, w którym mógłby przystanąć i choć trochę się rozgrzać, żeby odzyskać krążenie krwi w kończynach, ale to było jeszcze lepsze. Chwiejąc się na wietrze, Charn wszedł w mrok garażu i wyprostował się, gdy przestało wiać.

Trudno było uwierzyć, że ledwie kilka miesięcy temu placówka ta funkcjonowała całkiem sprawnie. Charn rozglądał się i próbował sobie wyobrazić setki ludzi krzątających się w tych murach. Sterowali maszyną, zajmowali się obroną, utrzymywali budowlę. Spali w koszarach, jedli w kantine i pilnowali, żeby generatory pracowały.

Ale tak było przed zergami. Zanim nadciągnął rój i wszystko spieprzył. Gdy Charn starał się rozgrzać dłonie i rozruszać palce, przyszło mu do głowy, że działa się tak znacznie częściej.

I wtedy w kącie warsztatu coś się poruszyło.

Na początku ruch był mały, niemal niezauważalny. Ale oczy Charna przywykły do braku światła księżyca i marine zaczął wychwytywać szczegóły. Cienie poruszyły się, zdradzając rozmiar i pozycję intruza. Zanim jeszcze zdał sobie sprawę, z czym ma do czynienia, Charn podniósł broń i zaczął strzelać.

Rozbłyśki z lufy karabinu Gaussa rozświetlały pomieszczenie w szalonym tempie — dwadzieścia osiem na sekundę. Huknęły strzały. Zergling wrzasnął dziko i zatańczył w stroboskopowych błyskach, gdy pociski z wgłębieniem wierzchołkowym rozrywały

go na strzepy. Charn strzelał jeszcze długo po tym, jak zerg eksplodował deszczem krwi i tkanek.

Zerg. Tutaj. Po plecach Charna przebiegł zimny dreszcz, choć ciało miał jeszcze rozgorączkowane od nagłej walki. Lufa karabinu Gaussa była przyjemnie ciepła w dotyku. Broń robiła wrażenie ciężkiej i żywej, jakby niemal błagała Charna, by nie puszczał spustu. Kusiła go, a może to tylko jego ciało pragnęło więcej ogrzewającego dłonie ciepła.

Charn włączył latarkę przy broni i oświetlił szczątki wroga. Kawałki karapaksu leżały rozrzucone po warsztacie. Krew, śluz i Bóg wie, co jeszcze, ochlapały ściany.

Marine podszedł z ciekawością i szturchnął nogą to, co zostało z rozerwanego zerglinga. Zdziwił się, że robal wydawał się teraz taki mały i pozornie bezbronny. Jak coś takiego może być tak groźne, zastanawiał się Charn. Jak to możliwe, że istnieje aż tyle straszliwych historii o tym małym, niepozornym stworzeniu.

Właśnie wtedy na plecy rzucił mu się drugi i trzeci zergling.

Jak na ironię, to ich szybkość go uratowała. Zerglingi wpadły na Charna z takim impetem, że pchnęły go gwałtownie do przodu. Marine padł jak długi i upuścił karabin, ale jego dwaj napastnicy polecili jeszcze dalej — drapali szponami i ostrzami śliską posadzkę warsztatu, nim uderzyli z rozpędu w ścianę.

Pierwszy zergling rąbnął mocno. Charn zerwał się na równe nogi. Stwór był oszołomiony. Próbował znaleźć oparcie na zamarznętej podłodze, ale jedno z jego skrzydeł złamało się i zwisało pod nienaturalnym kątem. Charn patrzył

jak zahipnotyzowany na te starania. Stwór przewiercał go wściekłym spojrzeniem, oczy robala świeciły w ciemnościach jak rozżarzone węgle.

Drugi zergling wstał, zanim żołnierz zdołał sięgnąć po broń. Charn nie podjął kolejnej próby odzyskania karabinu, tylko wymierzył kopniaka w najgrubszy segment pancerza robala. Miał szczęście i wyczucie czasu, bo trafił zerga w locie tuż przed tym, jak podobne do kos szpony skrzyżowały się z zabójczą precyzją dokładnie przed jego twarzą.

Gdy zergling dochodził do siebie, marine zanurkował po broń i wystrzelił na oślep dwie krótkie serie. Stwór skoczył za stertę poczerńiałego gruzu. Żołnierz nie był pewien, czy trafił. Strzelił ponownie, a potem jeszcze raz, na wszelki wypadek. W pomieszczeniu wzbiły się tumany kurzu, dymu i opiłki metalu.

Dopiero teraz przypomniał sobie o drugim napastniku. Obrócił się w prawo i z przerażeniem stwierdził, że zergling już zniknął. Charn zaczął powoli wycofywać się z garażu i rozglądać w poszukiwaniu świecących oczu. W mroku te oczy zdradzały najszybciej lokalizację przeciwnika... a przynajmniej tak Charna uczono.

Gdy tylko wyszedł, znów uderzył w niego wiatr. Pojawił się księżyc i niewiarygodnie jasne światło zalało dziedziniec, tylko warsztat krył się w cieniu. Charm ostrzelał wejście, by zyskać kilka sekund i szybko się oddalić. Posyłał serię za serią, cofając się i gorączkowo planując następny ruch.

Zerknął na broń. Wyświetlacz magazynka pokazywał 60. Kiedy żołnierz ponownie podniósł wzrok, stwór zza sterty gruzu wy dostał się już z budynku. Najeżone zębami

ostrymi jak brzytwy szczęki zerglinga wgrzyły się łatwo w jego prawe ramię. Charn najpierw to poczuł, nim jeszcze zobaczył.

Strzelając dziko, marine przeciągnął lufę wzdłuż ciała zerglinga. Pozostałe pięćdziesiąt dziewięć nabojów przebiło się przez bestię jak przez papier i rozerwało robala na pół. Ostatni strzał odbił się głośnym echem od ścian. Potem zapadła cisza.

Z ramienia Charna ciekł strumień krwi, rozwidlając się na palcach lewej dłoni. Prawe ramię też było poszarpane. Kłuło, jak gdyby dostał się do niego żrący jad. Upuszczony karabin zaterkotał, informując o braku amunicji — na wyświetlaczu migwały dwa zera. Charn odwrócił się, pobiegł za trzeci garaż i zaczął wypatrywać muru.

Nie zajęło mu to dużo czasu. Mur był ogromny, wysoki na dwanaście metrów i bezzasadnie gruby. Na górze znajdowały się stanowiska, które kiedyś zajmowały wieżyczki. Teraz z pustych dziur zwisały jedynie kable, które tańczyły szaleńczo w podmuchach wiatru.

Charn poświęcił chwilę, by odpiąć powyginaną, górną część pancerza. Odrzucił ją z ulgą, bo piła go boleśnie w szyję. Bez karabinu i pancerza poczuł się nagi, ale za to nieporównywalnie lżejszy. Odwrócił się na południe i przyspieszył.

Zwolnił dziewięćdziesiąt metrów dalej. W murze ziała dziura wielkości dużej ciężarówki. Otaczająca ją stal została wypalona od środka, ziemię pokrywały kałuże utwardzonego, stopionego żużlu. Teoretycznie mogło to zrobić pocisk zapalający, ale żaden pocisk nie był tak wielki.

Instynkt samozachowawczy kazał mu się nie zatrzymywać. Charn widział już wieżę, majaczyła niczym duch w oddali. Ironia sytuacji nie umknęła jego uwadze. Wyrwał mu się nerwowy śmiech, który bardziej przerażał, niż poprawiał samopoczucie.

Charn był w połowie drogi do wieży, ale instynktownie jeszcze się odwrócił. Coś biegło wzdłuż muru i to niemożliwie szybko.

Zergling ze złamanym skrzydłem.

Charn puścił się biegiem po zamarzniętym asfalcie. Dotarcie do wieży było jego szansą. Miał tylko jedną próbę, by uciec stworowi — nie było czasu na kalkulacje, czy to się uda, czy nie.

O dziwo, zaczął się pocić. Był przemarznięty i stracił dużo krwi... a jednocześnie czuł gorąco jak nigdy w życiu. Koszula Charna przesiąkała krwią i potem, a płuca paliły go dziko od gwałtownego wdychania lodowatego powietrza. Przed nim wznosiła się wieża, gładka metalowa włócznia, która brutalnie wbijała się w niebo.

Dotarł do windy przed stworem i wcisnął duży, żółty przycisk. Nic się nie stało. Charnowi serce zamarło. Uderzył przycisk ponownie, tym razem mocniej, i wtedy zrozumiał, że to na nic.

Baza pracowała na zasilaniu awaryjnym — włączone były tylko systemy podtrzymywania życia i światła awaryjne. Oczywiście marine wiedział o tym przez cały czas, bo miniony tydzień spędził w bunkrze. W ferworze zmagania zupełnie o tym jednak zapomniał.

Charn słyszał już zerglinga. Bestia zbliżała się w pędzie. To przeraziło go bardziej niż sam jej widok. Przez wichurę przebijał się potworny wrzask stworzenia, coraz głośniejszy i bardziej przenikliwy. Charn zaczął już niemal czuć ten dźwięk. Wiedział, że niedługo usłyszy go tuż przy uchu. Wtedy wrzask doprowadzi człowieka do szaleństwa... a potworne szczęki zacisną mu się na gardle.

Drabina serwisowa. Metalowe szczeble ciągnęły się po ścianie wieży. Charn rzucił się do nich, nie śmiał się nawet obejrzeć. Wyciągnął rękę i sięgnął do najwyższego szczebla, jaki mógł chwycić, po czym zaczął się podciągać, jakby od tego zależało jego życie. Bo zależało.

Postawił stopy na najniższym szczeblu, ale szponiaste wyrostki zerglinga wbiły się Charnowi w nogę aż do kości. Marine starał się uwolnić. Kopał wolną nogą, ale trafiał w powietrze. Wrzask pod nim zdawał się zmieniać z gniewnego na pełen triumfu.

Zergling przeorał nogę Charna ostro zakończonymi, przednimi kończynami. Ból był nie do zniesienia. Wstęgi krwi bryznęły na podstawę wieży. Charn krzyknął, ale zacisnął zęby i podciągnął się ostatkiem sił. Usłyszał, jak coś strzela mu w kolanie, ale się nie zatrzymał.

Z potężnym szarpnięciem bestia uderzyła cielskiem i wgniotła Charna w zimną stal ściany. Głośny brzęk metalu o metal przedarł się przez ból — i marine doznał olśnienia.

Żądło.

Drżącą ręką sięgnął po broń u boku. Ręka z C-7 zadrżała mu, gdy wycelował w dół. Pociągnął za spust. I jeszcze raz, i ponownie, ignorując nieludzko wysokie wrzaski bestii,

które rozsadzały mu czaszkę i doprowadzały do obłądu. Charn naciskał spust, dopóki nie usłyszał tylko serii pustych kliknięć.

Otworzył oczy. Pistolet na kolce przygwoździł zerglinga do zamarzniętej ziemi w kilkunastu miejscach. Sponiewierany stwór szarpał się, ale był połamany i pokaleczony, więc nie zdołał się uwolnić.

Charn zszedł. Obrócił kolbę pistoletu i rozwalił stworowi łeb. Następnie wrócił do powolnej wspinaczki, osiemnaście metrów w górę, po smaganej wiatrem wieży.

Wewnątrz wieży było przyjemnie ciepło. Dwa kotły ogrzewały pomieszczenia. Oba pracowały pełną parą i gdy Charn wszedł do górnych pomieszczeń, uderzyła go fala gorąca.

Właz był wyważony, zapewne przez samego ducha. To stanowiło dobry znak. Dzięki temu oraz przyjemnemu ciepłu, Charna ogarnął optymizm.

Wszedł na pokład obserwacyjny, a to, co ujrzał, zaparło mu dech w piersi. Wielka, plastalowa ściana dawała niezakłócony widok w prawie każdym kierunku. Na wschodzie dwa białe księżycy rozświetlały ponury krajobraz. Był piękny, lecz rozbudzał poczucie samotności.

Charn zauważył swoje odbicie w szklanej ścianie. Był uwalany brudem i krwią. Ramię miał spuchnięte, rany na nogach wyglądały jeszcze gorzej. Charn zaczął się zastanawiać, czy pozostali marine nadal nazywaliby go teraz dziewicą.

Przy końcu ściany obserwacyjnej stał człowiek. Patrzył na panoramę za plastalową taflą, a jego sylwetkę skrywał cień. Bez wątplenia duch. Zachowywał absolutny bezruch i Charn zaniepokoił się, że mężczyzna może nie żyje.

Duch poruszył głową. Odwrócił ją powoli i zmierzył Charna wzrokiem. Marine nie widział twarzy pod maską ducha, ale świecące pusto mechaniczne oczy budziły dreszcz.

Duch równie wolno z powrotem odwrócił wzrok na krajobraz w księżycowej poświacie. Nic nie powiedział.

— Hej. — Charn zdjął hełm. — Hej! Co się dzieje, do diabła? Dlaczego straciliśmy kontakt?

Duch ani drgnął w ciemności, tylko z założonymi rękami gapił się przez plastal. Charn zaczekał pół minuty na odpowiedź, w końcu zebrał się na odwagę i zrobił krok do przodu.

— Mamy dość gnicia w bunkrze — powiedział, tym razem bardziej asertywnie. Po tym, co przeszedł na zewnątrz, to było nic. Strach gwałtownie go opuścił, jego miejsce zastąpił gniew. — Pora ruszać. Ogłoś ewakuację. Rój nie będzie...

Ruch w oddali zwrócił uwagę Charna. Bezwiednie zrobił kolejne dwa kroki do plastalowej szyby. Zobaczył to w dole, za murami bazy.

— My, eee...

Słowa uwięzły marine w gardle. Na horyzoncie wszystko się ruszało. Kotłowało. *Roilo*.

— To rój! — krzyknął przejęty. — Jest tam!

Setki, nie — tysiące zergów zgromadziły się daleko od murów bazy. Nie przemieszczały się, ale Charn widział poruszenie w szeregach. Widział kolonie zerglingów, a między nimi większe robale. Wysoko na niebie krążyły leniwie mutaliski.

Duch nic nie mówił.

Charn podszedł do okna obserwacyjnego.

— To jest to! Wezwij atomówkę a dopadniemy wszystkie naraz!

Przejmującym, mechanicznym tonem duch powiedział tylko dwa słowa.

— *Już zrobione.*

Charn zamknął oczy. Ogarnęła go ulga i euforia. Nareszcie! Nareszcie nastąpi uderzenie i będą mogli wszyscy wrócić do domu. Zrobił głęboki wdech, otarł pot z czoła. Wydawało mu się, że już słyszy dobiegający z oddali warkot silników desantowców.

Wszystko było już dobrze. Wszystko poza czerwoną kropką na podłodze.

Duch zdjawszy hełm odsłonił białe, szkliste, pozbawione życia oczy. Przesunął się do przodu z mechanicznym szarpnięciem i właśnie wtedy Charn ujrzał zielone macki — wystawały z kręgosłupa mężczyzny, oplatały jego szyję i głowę... macki pasożyta neuronalnego, który teraz kontrolował każdy ruch ducha.

— *Już zrobione* — powtórzył duch, ale jego usta się nie poruszyły. Dopiero, gdy skończył mówić, wykrzywiły się w uśmiechu. Był to chory, nienaturalny wyszczerz istoty, która nie wiedziała, czym jest prawdziwy uśmiech.

Duch cofnął się znowu w cień. Charn dostrzegł tylko migotanie pola przy włączeniu urządzenia maskującego.

Marine rozdziawił usta, krew odpłynęła mu z twarzy.

Czerwona kropka na podłodze migotała wściekle, ryk silników był coraz głośniejszy.